



KNUT HAMSUN

MARZYCIELE

Knut Hamsun

MARZYCIELE

Wydawnictwo Estymator

www.estymator.net.pl

Warszawa 2025

ISBN: 978-83-68384-20-8

Projekt okładki: Ewa Hajduk

E-book zgodny z Europejskim Aktem Dostępności EAA

Tłumaczenie: Czesław Kędzierski

Spis treści

[Rozdział I](#)

Rozdział II

Rozdział III

Rozdział IV

[Rozdział V](#)

Rozdział VI

Rozdział VII

Rozdział VIII

Rozdział IX

[Rozdział X](#)

Rozdział XI

Rozdział XII

Rozdział XII

Rozdział XIV

[Rozdział XV](#)

Rozdział I

Pokojowa na plebanii, Maria van Loos, stała w kuchni przy oknie i wpatrywała się w odległy punkt wiodącej w górę drogi. Poznaje tych dwojga tam wysoko przy płocie, toż to z całą pewnością telegrafista Rolandsen, narzeczony jej, i Olga, córka dzwonnika. Tej wiosny jest to już druga schadzka, na której ich przydybała; cóż to właściwie znaczy? Gdyby w tej chwili panna van Loos nie miała tyle roboty, ho, ho, od razu by pobiegła tam do nich i zażądała wyjaśnienia.

Ale czyż ona ma na to czas? W dużej plebanii krzątano się wszędzie z gorączkowym pośpiechem, ponieważ lada chwila spodziewano się przyjazdu nowego plebana z rodziną. Małego Ferdynanda postawiono na posterunku przy dymniku, by uważał na zatokę i zawiadomił natychmiast o przyjeździe, w celu przygotowania dla przyjezdnych świeżej kawy. Pewne pokrzepienie przyda im się po podróży; z Rosengaardu bowiem przeprawić się muszą łodzią, a Rosengaard, miejsce postoju dla parowców, oddalone jest od zatoki o całą milę.

Na polach leżą jeszcze nieliczne łachy śniegu i lodu, ale maj już i ładna pogoda, i dni w Nordlandii długie i jasne. Sroki i wrony budują już pilnie swe gniazda, a na nagich pagórkach trawa się już zieleni. I w ogrodzie wierzba pączkuje wśród śniegu.

Rzecz teraz najważniejsza: jakiego pokroju człowiekiem jest nowy pleban. Cała parafia trzęsła się od ciekawości. Wprawdzie miał on przyjść tu tylko na czas przejściowy jako kaznodzieja pomocniczy, aż do mianowania prawdziwego plebana; w tej jednak parafii stan przejściowy może się przewlec i trwać bardzo długo. Uboga ludność rybacka i uciążliwa jazda co czwartą niedzielę do kościoła filialnego, wszystko to nie bardzo zachęcało do ubiegania się o tutejszą prebendę.

Opowiadano sobie, że oczekiwany pastor jest bogaczem i hojną ma rękę. Zgodził był już pannę pokojową i dwie dziewczyny do pomocy; nie szczędził również pod względem sił roboczych do pracy na folwarku i zgodził dwu parobków. A nadto przyjął małego Ferdynanda, chłopaka zwinnego i bystrego, jako popychadło do wszystkiego. Nowy pastor uchodził więc za człowieka bardzo zamożnego, i to wywołało w parafii wielkie wrażenie. Wiadomość to błogosławiona. W takim razie nie będzie chyba tak drobiazgowy w pobieraniu ofiar i dziesięciny, a przeciwnie – biedaków może jeszcze trochę wspomóc. Tak, wielka była ciekawość. Dwaj pomocnicy plebańscy oraz kilku rybaków w ciężkich swych i wielkich buciskach stawili się na dole przy szopach rybackich, gwoli przyjęcia dostojnika. Tymczasem jednak czekają, żują prymkę, strzykają przez zęby i gadają.

Wreszcie i wielki Rolandsen pokazał się na drodze, schodząc krokiem statecznym; pożegnał się z Olgą, i w tejże chwili też panna van Loos odstąpiła od okna w kuchni. Przy sposobności wygarnie mu jak się należy słowa prawdy; już nieraz odbywała taką rozprawę z Owe Rolandsenem. Holenderka z pochodzenia, posługiwała się gwarą z okolic Bergeny, i

była do tego stopnia wygadana, iż własny jej narzeczonny wymyślił dla niej przezwisko: „dziewica-ozornica”. Wielki Rolandsen był to w ogóle człek dowcipny i bezczelny.

Dokąd on teraz zmierza? Czyżby naprawdę miał zamiar powitać rodzinę pastora? Nie był on zapewne i dziś stateczniejszy niż zwykle, w butonierce miał pączkującą gałązkę wierzby, a kapelusz zsunięty trochę na bakier; tak się pokaże! Pomocnicy, oczekujący na dole przy szopach, byliby oczywiście woleli, gdyby się w tej chwili, w tej niezwykle ważnej chwili w ogóle nie był pokazywał.

Bo czyż uchodziło wyglądać tak jak on? Potężny jego nochał był aż nadto nieprzyzwoity jak na mało znaczny urząd, który piastował – a do tego ta jego czupryna, niestrzyżona przez całą zimę, która coraz więcej przybierała pozór czupryny artysty. Narzeczonego jego, chcąc się zemścić na nim, powiedziała mu, że wygląda jak malarz, który zeszedł na fotografa. Był to Cygan i kawaler trzydziestoczteroletni. Grał na gitarze i basem głębokim śpiewał pieśni ludu miejscowego, przy czym w miejscach szczególnie rzewnych i wzruszających zaśmiewał się aż do łez. Tak wspaniał był i zdumiewający. Był naczelnikiem stacji i od dziesięciu lat już na tutejszym stanowisku. Wysoki i budowy krzepkiej, od bijatyki nie uciekał, jeśli tylko napatoczyła się odpowiednia sposobność.

Nareszcie. Ferdek aż podskoczył. Z dymnika swego widzi, jak spoza przyłodka wyłania się dziób białej łodzi kupca Macka – w następnej chwili zbiega ze schodów w trzech zuchwałych susach i wrzeszczy na progu kuchni: – Ano, już są!

– Ojej, już są! – krzyczą przerażone dziewczyny. Pokojowa jednak nie traci rezonu, służyła tu już u poprzedniego plebana i zna się na swej robocie, zawsze dzielna i praktyczna. – Nastawić kawę! – Tyle tylko powiedziała.

Ferdek biegnie dalej ze swoją nowiną do parobków. Rzucają więc wszystko, co kto właśnie ma w garści, gorączkowo ubierają się w marynarkę odświętną i śpieszą co tchu na dół ku szopom, by pomóc pastorowi przy wysiadaniu. Tak więc dziesięciu chłopów stawiało się na powitanie przybyszów.

– Dzień dobry – mówi pastor, stojąc na rufie, i uśmiecha się i zdejmuje miękki swój kapelusz. I wszyscy na brzegu z szacunkiem odkrywają głowy, a dwaj pomocnicy plebańscy kłaniają się tak nisko, że długie włosy opadają im na oczy. Wielki Rolandsen nieco mniej się tym wszystkim przejmuje, stoi wyprostowany jak świeca, ale i jego kapelusz opada nisko.

Pastor jest człowiekiem młodszym, z rudawymi faworytami i piegawaty; tęgi blond wąż przysłania mu prawie całkowicie nozdrza. Żona jego, wyczerpana chorobą morską, spoczywa w kajucie.

– Jesteśmy już na miejscu – mówi pastor w drzwiach kajuty i pomaga żonie wyjść. Oboje ubrani w szaty dziwnie stare i grube, które nieszczególne robią wrażenie. Są to zapewne pospolite okryjbiedy, wydobyte na podróż, elegancką zaś garderobę zapakowano w walizy. Kapelusz pani pastorek zsunął się na kark, a twarz jej blada z dużymi oczami ściągnęła na

siebie wzrok wszystkich oczekujących. Brodząc, zbliża się pomocnik Lewion do łodzi i przenosi żonę pastora na brzeg, gdy pastor tymczasem daje sobie sam radę.

– Jestem Rolandsen, telegrafista – przedstawił się wielki Rolandsen i wysforował się naprzód. Jest rzetelnie pijany i wytrzeszcza oczy, ponieważ jednak posiada dużo ogłady, przeto wystąpienie jego jest mimo wszystko całkiem poprawne. Ho, Rolandsen zuch, nie zwykł dopuszczać się jakichkolwiek uchybień, kiedy obracał się wśród dostojników i pięknymi wyrażeniami szastał dokoła siebie. – Jeśli wolno – rzekł, zwracając się do pastora – pozwolę sobie przedstawić panu wszystkich po kolei. Ci dwaj, jeśli się nie mylę, to pomocnicy plebańscy. Tamci dwaj to pańscy parobkowie. Ten tutaj – to Ferdek.

I pastor oraz pani pastorowa witają wszystkich lekkim skinieniem głowy: – Dzień dobry, dzień dobry – wkrótce lepiej się z sobą poznają. Tak, tak, teraz należałoby przenieść bagaże.

Ale pomocnik Lewion spoziera w stronę kajuty, jak gdyby zamierzał tam jeszcze raz pobrodzić. – Czy dzieci nie przyjechały? – spytał.

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI